ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK V. NR 16/200

LONDYN, NIEDZIELA 22 KWIETNIA 1951 R.

MARIAN ALBIŃSKI

SOCJOLOGICZNA MAPA ŚWIATA

ZJAZD SOCJOLOGÓW KATOLICKICH W BOUVIGNE

W BOUVIGNE w Holandii zjechało się kilkudziesięciu socjografów i socjologów katolickich z różnych krajów, aby omówić obecny stan pozytywnych nauk społecznych w dziedzinie życia religijnego i kościelnego. Ci, którym powierzono przygotowanie referatów, mieli za zadanie przedstawić problemy, jakie życie stawia w danych krajach, metody, jakimi socjologowie do tych problemów podchodzą oraz wspomnieć o osiągnięciach. Na zjeździe dostarczono informacji o znacznej ilości problemów kilku krajów, wspomnę jednak tylko niektóre z nich.

HOLANDIA

Przyrost ludności w Holandii jest bardzo duży w porównaniu z innymi krajami Europy zachodniej. Wynosi on 150.000 ludzi na rok. W 1970 będzie Holandia mieć ponad 12 milionów ludności. W 1850 miała jej 3 miliony. Największą liczbę urodzin znajdujemy u ludności rolniczej, co pociąga za sobą konieczność przeszczepiania wielu ludzi w inne środowiska społeczne niż te, z których pochodzą, gdyż groźbie przeludnienia chce się zapobiec przez emigrację i uprzemysłowienie kraju. Nawet budowa fabryk na wsi nie uchroni przed przeniesieniem ludzi do innych środowisk społecznych, gdyż w tym wypadku środowisko zmieni się nie tylko dla zatrudnionych w fabryce, lecz również dla pozostałych mieszkańców wsi.

Są to problemy bardzo ważne nie tylko dla państwa, lecz także dla Kościoła. Należy zważyć, że w 1879 r. 0,31% ludności nie przyznawało się do żadnej religii. W 1947 bezwyznaniowi stanowili już 17% ludności całej Holandii. Sprawa ta wygląda jeszcze poważniej, jeżeli zobaczymy ją nie na tle całego kraju, lecz niektórych jego części: prowincja Północnej Holandii jest w 34,1% bezwyznaniowa; Amsterdam w 45%. 10% ludzi, którzy podają się za katolików, nie przystępuje do komunii wielkanocnej. 69% owych „letnich" katolików holenderskich mieszka w jednej tylko diecezji Haarlem. Ilość powołań kapłańskich jest mniej niż proporcjonalna do przyrostu katolickiej części ludności. Bardzo mały jest zwłaszcza przyrost księży świeckich, a w ostatnich latach ich liczba nawet się zmniejsza z roku na rok. Znaczna ilość chłopców, którzy wstępują do seminariów, występuje z nich przed otrzymaniem święceń.

Oto niektóre problemy holenderskie, widziane z lotu ptaka. Dla zagłębienia się w nie został utworzony Katolicki Instytut Socjologii Kościelnej. Instytut pracuje bardzo wydajnie, szkoda tylko, że bardzo mało publikuje. W większości wypadków opracowuje tylko raporty dla zainteresowanych instancji, zajmuje się więc wyłącznie socjologią stosowaną.

BELGIA

Belgowie zajmują się w chwili obecnej problemem: Jaki winien być wzajemny stosunek religijnych i świeckich struktur społecznych. W znacznie mniejszej mierze studiują takie zagadnienia, jak: jakimi środkami można spowodować powrót współżycia w parafiach; czy należy się trzymać terytorialnie wykreślonych granic parafii, czy może duszpasterstwo winno się zająć istniejącymi świeckimi konfiguracjami społecznymi (struktury zawodowe, kulturalne itp.).

W większości wypadków opierają się Belgowie, badający życie społeczne Kościoła, na podziale na okolice wiejskie, lub dzielnice miasta, niż na dekanaty i parafie, gdyż tych ostatnich nie uważają za rzeczywiste jednostki społeczne.

FRANCJA

Problemy francuskie są bardzo poważne i na ogół znane. Można je krótko streścić w powiedzeniu, że Francja w znacznej mierze spoganiała. Aby się przekonać, w jakim kierunku idzie ona w chwili obecnej, Francuzi badają osobno dzieci, a osobno ludzi dorosłych i młodzież powyżej 14-u lat. Używają oni tego samego miernika, jakiego używa się w innych krajach dla stwierdzenia, czy ktoś jest katolikiem, czy nie: komunia wielkanocna i Msza niedzielna. Jak widać z francuskiego referatu, pracę prowadzą sumiennie i starannie. Dążą do stworzenia jak najdokładniejszego obrazu życia religijnego we Francji. W tym celu opracowują osobne raporty o mężczyznach, kobietach, młodzieży dorastającej męskiej, żeńskiej, kategoriach zawodowych itd.

NIEMCY

W ostatnich czasach zmienił się ogromnie obraz religijny Niemiec. W wiejskich okolicach północnej Hesji na przykład, 3% ludności wyznawało religię katolicką — obecnie 21%. Również i w tych miejscach, gdzie wysiedleni katolicy niemieccy znaleźli się wśród katolików, różnica zwyczajów w liturgii, modlitwie, śpiewie utrudnia współżycie. Przemieszanie ludności i zawieranie małżeństw mieszanych, lub małżeństw katolickich między tubylcami i przybyszami doprowadza często do rozwodów. Wiele rodzin zostało rozerwanych, wiele innych mieszka we wspólnych pomieszczeniach z innymi, nie należącymi do rodziny. Problem wysiedlonych jest chyba najpoważniejszym problemem społecznym dzisiejszych Niemiec, zwłaszcza jeżeli umieścimy go na tle ogólnej sytuacji kraju. Wielu rolników z polskich terenów zachodnich stało się bezrolnymi i jednocześnie rolnictwo niemieckie musi żywić znacznie zwiększoną liczbę ludności. Rażąco nierówny rozdział dochodu społecznego pozwala jednej szóstej ludności na luksus, podczas gdy więcej niż połowa nie może sobie pozwolić na normalne utrzymanie. Ciągłość warstw społecznych przerwała się, dzieci intelektualistów stają się robotnikami, wielu ludzi z warstw t.zw. „niższych" przechodzi do „wyższych". Z rąk partyjnej „arystokracji" hitlerowskiej przedostała się władza w ręce alianckich władz akupacyjnych. Teraz przechodzi ona w ręce inteligencji niemieckiej. Czwarta część ludności Niemiec Zachodnich utrzymuje się ze środków publicznych.

Socjologowie niemieccy badają dziś zarówno wieś, jak i miasto. Specjalnie interesuje ich sprawa środowisk, w których widać objawy katolicyzmu tradycyjnego oraz sprawa tych, którzy dają materialne podstawy życiu religijnemu. Bada się również problem, czy należy wskrzeszać przedhitlerowskie organizacje katolickie, czy raczej należy tworzyć nowe.

Problemów, i to ważnych, jest dużo. Studia nad nimi są w powijakach. Jest więcej planów, niż rzeczywistej pracy. Zabierając się do dzieła, czerpią Niemcy głównie z wzorów francuskich. Eksperymenty nad studiami socjologii parafii przeprowadza się obecnie w Kolonii. Przeprowadza się tam również próby planowania kościelnego w związku z odbudową miasta (integracja administracji kościelnej, duszpasterstwa, administracji cywilnej, życia kulturalnego itd.). Istnieje wprawdzie w Niemczech kilka instytutów socjograficznych i pokrewnych (Dortmund, Frankfurt, Hannover, Hamburg, Kassel), żaden jednak nie zajmuje się zagadnieniami kościelnymi, ani życiem religijnym społeczeństwa. Istniejące instytucje zajmują się albo czystą statystyką, albo nauką społeczną Kościoła.

Ponieważ Francuzi pracują bardzo sumiennie na polu socjografii kościelnej, a Niemcy na nich się wzorują, zabierają się również do bardzo dokładnej i drobiazgowej pracy. Jeżeli chodzi na przykład o wieś, wypracowali kilkanaście typów wsi i mają zamiar zbadać po kilkanaście wsi każdego typu pod wyżej wymienionymi aspektami. Należy się spodziewać, że praca będzie miała poważną wartość naukową i praktyczną. Materiały zbierają z bardzo różnorodnych źródeł, a w ich sortowaniu i analizie posługują się najnowszymi zdobyczami metodologii socjograficznej. Pod tym względem dużą pomoc stanowi dla nich współpraca fachowców amerykańskich w ramach E. G. A. Technical Assistance. Poważne utrudnienie stanowi brak dobrych statystyk. Po 1945 r. prowadzono statystyki w poszczególnych częściach kraju różnymi metodami, doprowadzając w ten sposób do zamieszania na tym polu.

STANY ZJEDNOCZONE

Parafia w Ameryce ma funkcję tylko administracyjną, nie ma natomiast funkcji społecznej, jak w niektórych częściach Europy. Dotyczy to zwłaszcza miast. Znaczne ilości ludzi odpadają od Kościoła. Poszczególne grupy narodowościowe identyfikują katolicyzm ze swoją narodowością, co doprowadza do konfliktów poszczególnych struktur wewnątrz Kościoła. Parafiom nadaje się często funkcje narodowościowe. W różnych parafiach istnieją konflikty narodowościowe i klasowe. Stale posuwająca się naprzód urbanizacja powoduje, że dotychczasowy podział na parafie staje się coraz mniej celowy.

Mimo, że problemy narzucają się same, Amerykanie zajmują się bardzo niewiele parafią, czy innymi aspektami życia katolickiego. W tej chwili przygotowuje się dwa dzieła o parafii katolickiej. Będą one opublikowane jeszcze w tym roku. Poza tym można znaleźć rozdziały o parafii w książkach socjograficznych lub socjologicznych, poświęconych innym zagadnieniom. Wielką trudność stanowi całkowity brak statystyk. W żadnych papierach państwowych nie ma rubryki na religię i władzę nie dadzą się skłonić do wprowadzenia takiej rubryki.

KANADA

Również i w Kanadzie jest sporo różnych grup narodowościowych i religijnych. Kanadyjczycy, mówiący językiem francuskim są na ogół katolikami; ci, którzy mówią po angielsku, to w większości protestanci. Poważny problem stanowią katolicy mówiący po angielsku, gdyż muszą być solidarni religijnie z obcą grupą narodowościową oraz zachowywać solidarność narodowościową z grupą obcą religijnie. Każdej chwili grozi im niebezpieczeństwo odpadnięcia od którejś z tych grup. Wielkie skupiska miejskie spotyka ten sam los, co w wielu innych krajach — odpadają od wiary.

Socjologią życia religijnego nie zajmowano się w Kanadzie do niedawna wcale, socjologią w ogóle zajmowano się bardzo mało. Dziś zaczyna tam dopiero docierać wpływ Stanów Zjednoczonych. Z tego też względu socjologia kanadyjska bardzo przypomina amerykańską: małe zainteresowanie strukturami katolickimi. Kanadyjczykom, którzy zabierają się do studiów w tej dziedzinie, współpraca przychodzi niełatwo, gdyż nie mogą się pogodzić co do pewnych różnic metodologicznych, np. czy parafię powinno się rozpatrywać jako jednostkę terytorialną, czy jako grupę wiernych, czy jako strukturę kościelną, czy wreszcie zająć się życiem religijnym całego środowiska wiejskiego lub miejskiego zamiast parafii.

* * *

Badania tego rodzaju są na razie wszędzie dopiero w stadium początkowym, w Europie jednak są już bardziej rozwinięte, niż w Ameryce. Duszpasterze będą w nich mieli nowy środek pomocniczy, który im ułatwi kontakt z resztą ludności tam, gdzie ten kontakt się przerwał lub został utrudniony.

Marian Albiński.

Autor powyższego artykułu, p. Marian Albiński, w dniu 6 ub. m. zdał **„cum laude"** egzamin pół-dyplomowy wydziału nauk polityczno - społecznych na Katolickim Uniwesytecie w Nijmegen.

„Cum laude" jest najwyższym wyróżnieniem, jakiego uniwersytet w Nijmegen udziela. Przewodniczący komisji egzaminacyjnej, ogłaszając publicznie wynik egzaminu, wyraził uznanie dla pracy kandydata oraz postawił go innym studentom za przykład.

P. M. Albiński jest stałym współpracownikiem naszych pism.

JANUSZ RAKOWSKI

ZE SPRAW KRAJOWYCH

METODY WYZYSKU PRACY W POLSCE

TEORIA I PRAKTYKA

JEST rzeczą powszechnie znaną, że między teorią i praktyką, między programem politycznym i jego zastosowaniem w życiu, zachodzą często daleko idące rozbieżności. Nigdzie bodaj rozbieżności te nie są tak wielkie i tak jaskrawe jak we współczesnych formach państwowych wschodnio-europejskiego komunizmu, w t. zw. „demokracjach ludowych".

Kryzys, jaki przeżywają dziś niektóre partie komunistyczne, posiada m. in. swe źródło właśnie w tej rozbieżności teorii i praktyki. Wielu ludzi, wysoko nawet wyniesionych przez falę komunistycznej rewolucji, nie może się pogodzić z panującym w „demokracjach ludowych" uciskiem człowieka. Teoria socjalistyczna głosi przecież, że po zniszczeniu kapitalistów i zmianie warunków produkcji panować będzie raj na ziemi. Utopiści, jak Fourier, wyobrażali sobie, że człowiek będzie wówczas silniejszy i piękniejszy; jako pan świata na grzbiecie lwa przemierzać będzie bezkresne pustynie, podczas gdy hipopotamy i wieloryby ciągnąć będą żaglowce po rzekach i oceanach w dni bezwietrzne. Marx i jego szkoła zwalczali wprawdzie te utopie, wyobrażali jednak sobie również, że po uspołecznieniu środków produkcji, w myśl nauk materializmu dziejowego, ustanie nierówność między ludźmi, ziści się sprawiedliwość społeczna i każdy ochotnie wypełniać będzie obraną czy wyznaczoną mu pracę dla dobra państwa.

Nie tylko wielu idealistów, ale, i przede wszystkim, szerokie masy robotnicze przekonały się szybko, że życie w systemie komunistycznym jaskrawo odbiega od ich wyobrażeń wiązanych z tym systemem. Rozczarowania tego doświadczyli boleśnie robotnicy krajów wschodnio-europejskich po t. zw. „wyzwoleniu" tych krajów przez Armię Czerwoną Józefa Stalina.

T.ZW. „SOCJALISTYCZNA DYSCYPLINA PRACY"

Przywódcy komunistyczni dobrze wiedzą, że w państwie robotniczym, jeśli ma ono działać i utrzymać się, trzeba pracować równie ostro i wydatnie jak w kraju kapitalistycznym. Ba! w kraju komunistycznym, gdzie przestała istnieć funkcja społeczna wykwalifikowanego przedsiębiorcy indywidualnego, gdzie przez upaństwowienie fabryk, ziemi, warsztatów handlowych i usługowych, odpowiedzialność za rozwój życia gospodarczego parceluje się na dziesiątki tysięcy nie zawsze odpowiedzialnych i zainteresowanych w tym życiu biurokratów partyjnych — w takim systemie pracować należy ze zdwojonym wysiłkiem. Tempo tego wysiłku musi być tym większe, im bardziej ambitne i śmiałe plany polityczne, nie tylko czysto gospodarcze, stawia sobie rządząca góra. W okupowanych przez Rosję wschodnio-europejskich „demokracjach ludowych", podobnie jak w samej Rosji, po wojnie z punktu postawiono sobie nie tylko plany odbudowy i rozbudowy ekonomicznej, ale również plan polityczny rozszerzenia komunizmu na cały świat. Dla wykonania tych wszystkich planów trzeba było znaleźć metody zmuszenia robotników do intensywnej pracy. Te tendencje znalazły swój wyraz w haśle t.zw. „socjalistycznej dyscypliny pracy", jako drodze do wzmożenia wydajności pracy.

Ta „socjalistyczna dyscyplina pracy" jest jednym z typowych wytworów komunistyczno-marksistowskiej dialektyki. Znane, ale zaostrzone jeszcze metody prywatno-kapitalistycznego drenażu czy wyzysku pracy przejmuje się obecnie na rachunek kapitalizmu państwowego, poprzedzając je niewinnym, ale mającym wszystko tłumaczyć i wszystko rozgrzeszyć słówkiem „socjalistyczne". Zupełnie podobnie. jak dodanie słowa „narodowy" do nazwy Banku Polskiego, rad terytorialnych i t.p. urzędów i instytucyj, sugeruje rzekomą ich niezależność od Rosji.

METODY WYZYSKU PRACY W POLSCE

W stosunku do „socjalistycznego" wyzysku pracy komuniści w Polsce poszli utartą drogą doświadczeń sowieckich. Wolne związki zawodowe, jako organizacje samopomocy robotniczej w walce z niesprawiedliwością społeczną, zostały zlikwidowane. Na ich miejsce powołano podporządkowane partii komunistycznej państwowe związki zawodowe, których zadaniem jest podpisywanie dyktowanych z góry umów zbiorowych pracy i płacy oraz współdziałanie w podnoszeniu wydajności pracy robotników. W fabrykach powołano wszędzie związane dziś całkowicie ze związkami zawodowymi rady zakładowe, mające przede wszystkim na celu współdziałanie z dyrekcjami fabryk w opracowaniu nowych norm wydajności i organizowaniu indywidualnego i zbiorowego „współzawodnictwa pracy", będącego niczym innym, jak daleko idącym dopingiem za zwiększeniem pracy bez odpowiedniego wzrostu wynagrodzenia.

Powszechnie wprowadzono system pracy akordowej i premiowej. W pierwszych latach powojennych, a szczególnie w ciągu 1950 r., dawne normy wydajności zostały wybitnie podniesione, niekiedy przy zabawnym akompaniamencie „uchwał" załóg robotniczych i patetycznych wezwań napuszczonych w tym celu „stachanowców", żądających stałe podwyższania tych norm. W wielu działach, dla wzmocnienia wzajemnej kontroli robotniczej, wprowadzono zbiorowe normy wydajności, uzależniając wypłatę premii od wykonania z nadwyżką danej normy przez całą grupę robotniczą.

Rząd, partia, związki zawodowe, rady zakładowe, organizacje młodzieżowe i dziesiątki innych stowarzyszeń, komitetów, „wart" i „trójek pokoju", prowadzą bezustanną propagandę za zwiększeniem pracy, jej racjonalizacją i mechanizacją. Przy fabrykach utworzono kluby „racjonalistów pracy". Od rana do nocy robotnik smagany jest propagandą w tym kierunku, jak biczem. Na 1-go maja, na urodziny Stalina, na święto Czerwonej Armii, z okazji „kongresu pokoju", „reformy walutowej", „zniżki cen" i td. — zwołuje się robotnicze załogi na masówki i nakazuje uchwalenie wniosków o wypracowanie 100, 200 i nierzadko 300 procent normy!

Te metody, aczkolwiek już same w sobie bardzo ostre, okazały się niewystarczające. Na jesieni 1949 r. i w ciągu 1950 r. przystąpiono więc do wybitnego wzmocnienia systemu komunistycznego drenażu pracy przez środki ustawowe i policyjno-wojskowe. W działach o wybitnym znaczeniu gospodarczym, jak np. w górnictwie węglowym, wprowadzono w listopadzie 1949 r. t. zw. „Kartę Górniczą", okrzyczaną jako „przywilej", a będącą w istocie rzeczy zarządzeniem militaryzacji polskiego górnictwa węglowego. Zaszeregowani do 18-tu stopni służbowych górnicy muszą nosić mundury służbowe w czasie pracy z odznakami stopnia i nie wolno im zmienić miejsca pracy bez zezwolenia. W połowie 1950 r. wprowadzono we wszystkich większych zakładach pracy system jednoosobowego kierownictwa, zamiast kolektywnych zarządów, z całą hierarchią osobistej zależności od wyższego podwładnego. zupełnie jak w organizacji wojskowej.

Ukoronowaniem całego tego systemu, który możemy tu przedstawić tylko szkicowo, była ustawa z dn. 19 kwietnia 1950 r. o „zabezpieczeniu socjalistycznej dyscypliny pracy". Ustawa ta, pod rygorem odpowiedzialności sądowej „kierowników warsztatów", nakazała karanie robotników spóźniających się lub niedokładnie pracujących karami porządkowymi, a przy opuszczaniu pracy bez t. zw. „usprawiedliwienia", poleciła oddawanie pracowników sądom karnym. Sądy te wyznaczają z reguły obniżkę zarobków za byle przewinienie od 15 do 25 proc. Karane jest również samowolne przeniesienie się do innego miejsca pracy. Dla większego postrachu, wprowadzono równocześnie całą organizację szpiegowania i szpiclowania kolegów pracy, uruchomioną przez aktywistów partyjnych, jak również propagandę przeciw „lekarzom-sabotażystom" z Kas Chorych, ośmielającym się wydawać robotnikom i pracownikom zaświadczenia chorobowe uprawniające do zwolnienia z pracy.

PROBLEM DŁUGOFALOWEGO UCISKU

Otóż, mimo tych wszystkich środków w zakresie wydajności i „socjalistycznej dyscypliny pracy", nie musi być w Polsce dobrze, skoro główny „ekonom" Stalina w Warszawie, p. Hilary Minc, w referacie swoim wygłoszonym dn. 17 lutego r.b. na Komitecie Centralnym ZPPR, stwierdził z wyrzutem pod adresem polskiej klasy robotniczej, że zniżka kosztów własnych wyniosła w przemyśle w r. 1950 „tylko 3,4%". Do tego stwierdzenia p. Minc dodał: „Były przemysły, w tej liczbie bardzo ważne, np. przemysł węglowy, które nie tylko nie dały zniżki kosztów własnych — ale na odwrót pewien ich wzrost". I tutaj p. Minc skierował bardzo ostry atak pod adresem robotników, zarzucając im, że jakoby w r. 1950 więcej zarobili niż zapracowali. „Podczas gdy wskaźnik wydajności na jednego pracownika grupy przemysłowej wyniósł w 1950 r. w stosunku do 1949 r. 109,1 proc., wskaźnik płacy nominalnej na jednego pracownika grupy przemysłowej wyniósł analogicznie 117 proc."

„U źródeł tego niepomyślnego zjawiska — mówi dalej p. Minc — było nagminne nieprzestrzeganie dyscypliny pracy oraz łamanie obowiązującej dyscypliny płac, oraz obowiązujących norm w zakresie zatrudnienia". Na rok 1951 rząd w Warszawie przewiduje obniżenie kosztów własnych w wielkim i średnim przemyśle o 6,1 proc. i w drobnym przemyśle socjalistycznym o 8,0 proc., co ma się dokonać — według p. Minca — przez *obniżkę kosztów osobowych* oraz obniżkę kosztów materiałowych. „W roku 1951 — wołał z pasją p. Minc — musimy skończyć z niezdrowym zjawiskiem wyprzedzania wzrostu wydajności przez wzrost płac z niedopuszczalnym zjawiskiem łamania dyscypliny norm, dyscypliny płac i dyscypliny zatrudnienia".

Twierdzenie p. Minca, że jakoby płace w Polsce wzrosły w ciągu r. 1950 przeciętnie na robotnika przemysłowego o 17 proc., jest oczywistą, wyssaną z palca statystyczną nieprawdą. Nieprawda ta była potrzebna p. Mincowi właśnie dla uzasadnienia programu długofalowego ucisku robotników w Polsce dla wykonania komunistycznych zamierzeń politycznych i gospodarczych w narzuconym krajowi przez Moskwę planu sześcioletniego 1950—1955. Plan ten przewiduje, jak wiadomo, wzmożenie produkcji przemysłowej o 180 proc. w porównaniu z r. 1949, przy czym głównie w zakresie towarów interesujących Rosję. Dla zrealizowania i poniekąd sfinansowania planu przewidziano wzrost wydajności pracy w poszczególnych dziedzinach gospodarstwa polskiego od 50 do 80 proc.! Co rok musi zatem wzrastać wysiłek pracy polskiej klasy robotniczej, który na rok 1951 wymagany jest przez p. Minca w wysokości wzrostu wydajności robotnika przemysłowego przeciętnie o 13 proc.

SYSTEM PRACY NIEWOLNEJ

Powróćmy teraz do naszych teoretycznych rozważań na wstępie i

zapoznajmy się, co ma wspólnego cały ten wymyślny system drenażu pracy z socjalizmem, demokracją i wolnością od kapitalistycznego ucisku. Na pewno nic. Ideowy socjalizm i jego najbardziej radykalny teoretyk, Karol Marx, całkiem inaczej wyobrażali sobie życie robotnicze przy zrealizowaniu marksistowskiego systemu. Socjalizm miał być przecież wolnością od ucisku pracy a nie spotęgowaniem tego ucisku do tak niesłychanych i karykaturalnych rozmiarów.

Od samego początku idei socjalistycznej walczyły z sobą w jej obozie dwa kierunki: ten, który chciał widzieć człowieka wolnym w systemie zorganizowanej pracy społecznej i ten, który chciał zmienić życie społeczne na koszary wojskowe, który ideę życia kolektywnego, jeśli w niej widzi się cel i dobro społeczne, chciał osiągnąć przez gwałt, terror, policję i szpiclowanie. Kontynuatorami tego drugiego kierunku są właśnie dzisiaj w Rosji Sowieckiej, w Polsce i we wszystkich krajach za żelazną kurtyną k o m u n i ś c i, jako rzecznicy t. zw. doktryny „leninizmu-stalinizmu", którzy wprowadzonemu przez siebie systemowi pracy nadają, jakby na ironię, nazwę „socjalistycznej dyscypliny pracy".

W długim okresie rozwoju historii życia ludzkiego mieliśmy różne s y s t e m y p r a c y. Najpierw był *system pracy niewolniczej*, z kupowaniem robotnika, z przywiązywaniem go do miejsca pracy, z poddaństwem osobistym i zależnością całkowitą od pracodawcy. Z końcem 18 wieku system ten zmienił się stopniowo na *system indywidualnej wolności*, w którym warunki pracy ustalała umowa indywidualna między pracodawcą i pracownikiem. Ten system miał swoje złe strony, wobec nierówności ekonomicznej partnerów, to też zastąpiony został przez *umowy zbiorowe pracy*, dochodzące do skutku nie indywidualnie, lecz za pośrednictwem obustronnych organizacyj. Do tej ewolucji walnie przyczyniła się chrześcijańska nauka społeczna. W Encyklice „*Rerum Novarum*" Leona XIII z 15 maja 1891 r. zasady wolnej zbiorowej umowy pracy zostały mocno postawione obok zasady wolnych związków zawodowych, płacy sprawiedliwej, ubezpieczeń społecznych i interwencjonizmu państwowego na rzecz klasy robotniczej, jako słabszej gospodarczo. Bezpośrednio przed wojną hitleryzm, faszyzm i komunizm sowiecki zaczęły propagować i realizować *system państwowego związania pracy*. Państwo wyłącznie dyktować poczęło warunki pracy i płacy, wskutek czego wolny stosunek pracy nabierać począł charakteru służby.

W komuniźmie sowieckim i w krajach wschodnio-europejskich „demokracyj ludowych" ten ostatni system doszedł do karykaturalnych rozmiarów. Państwowe związanie pracy z całą aparaturą towarzyszących mu środków przymusowych, powoduje, że po wiekach rozwoju życia ludzkiego cofamy się do punktu wyjścia: do zmienionego wprawdzie, ale podobnego w swych założeniach s y s t e m u p r a c y n i e w o l n i c z e j.

Janusz Rakowski

JAN TOKARSKI

NARODY NIE UMIERAJĄ

BENEDYKT XV przypominał katolicką prawdę, że po Odkupieniu narody nie umierają. Patrzymy dziś własnymi oczyma, jak z mroku dziejów, przywalone od wieków rumowiskiem faktów, zdawało by się nie do odwrócenia, wynurzają się narody od dawna zapomniane. Nie szukając dalej jak na tej Wyspie, widzimy, jak budzi się do własnego odrębnego życia duchowego i politycznego naród walijski o starej, niegdyś wielkiej kulturze, która swój okres klasyczny poezji np. zamyka już w VI wieku naszej ery! Jak dawna to kultura i o jakim charakterze, wystarczy wskazać na jedną datę: W czasie gdy my przygotowujemy się do obchodu Tysiąclecia katolickiego, katolickie tysiąclecie Walii minęło już wtedy, kiedy pierwsze okrucieństwa reformacji brytyjskiej zwróciły się przeciw temu krajowi, który sprawę Tudorów uznał za własną! Owładnięcie „koroną Londynu" — w wyniku wojny Róż — przez Tudorów, prawowitych władców Walii, Walijczycy okrzyknęli za zwycięstwo własnej walki o niepodległość, walki ciągnącej się już od najazdu Saksonów a potem Normanów. Lecz w tym rzekomym zwycięstwie na wieki całe pogrzebana została dusza Walii, narodowa i katolicka. Inteligencja Walii związana tysiącem nici z dworem, uległa anglizacji i w swej większości wyobcowała się ze swego narodu. Walijscy historycy podają tysiące dowodów, że stosunek między wielkimi właścicielami ziemskimi kraju a resztą dzierżawców był wręcz wrogi. Nieudanie się podejmowanej swego czasu myśli o uniezależnieniu Kościoła w Walii od Canterbury i stworzeniu własnej prowincji kościelnej, spowodowało jej klęskę religijną w czasie reformacji Tudorów, okupioną setkami męczenników.

Walia w swej masie nigdy nie przyjęła angiikańskiego High Church'u. Był to klasyczny kraj nonkonformizmu. Ale ponieważ pokolenia po pokoleniach nie widziały Mszy i kapłana, kraj popadł w religijną apatię, a miejscami w powrotne jakby pogaństwo, gorzej nawet, bo w wyobcowanie wszelkiej myśli religijnej. Z braku własnej inteligencji, która uległa wynarodowieniu, nie było w Walii żadnych przewodników duchowego przewrotu. Dopiero wielki wysiłek religijny metodystów, którego nawet wybitni dzisiejsi k a t o l i c y walijscy nie wahają się porównywać z franciszkańskim odrodzeniem Umbrii XIII wieku i w wydawnictwach posiadających „imprimatur" stwierdzać, że nigdy nie może zostać w pełni doceniony, wyniósł znów na powierzchnię sprawę Walii. Zarówno z kulturalnego jak i religijnego punktu widzenia, było to nagłe odżycie pełnego narodu.

Prorok narodowy, bohater wolności i poeta siostrzanej Irlandii Pedraic Pearse (którego opowiadanie p.t. „Iosagan" drukowaliśmy niedawno w ŻYCIU), powiada w swej sztuce „The Singer", zajmującej się problemem wolności: „Jeden człowiek może wyzwolić naród, jak jeden Człowiek odkupił świat". Na przekór kultowi rzeczy materialnych, tak właściwemu powietrzu tej Wyspy, że gdy niedawno pewien krytyk angielski usiłował wyrazić swój szacunek do ewangelij, oświadczył, że „zasługują na ochronę tak *jak nasze dawne budynki*", — coś z idealistycznej wiary zostało w urodziwej Walii. Własny duch narodu ukrył się — i przetrwał — w słowie: w tajemniczym, starożytnym, pamiętającym języku walijskim. A dziś sprawa tego języka dawnych Brytonów, którzy przed najazdem pogańskich Saksonów uszli w góry Walii wraz ze swym starym chrześcijaństwem, rozwijającym się odrębnie, we własnych obrządkach, odznaczających się serdecznym kultem Marii i głęboką kulturę życia monastycznego, — odgrywa zasadniczą rolę nie tylko w walce o walijską odrębność, ale o sam rdzeń duszy walijskiej. A nie ma w tym przesady. Jest to bowiem sprawa nie tylko przyszłości walijskiego narodu, ale jego jakości, jego prawdziwego odnalezienia siebie samego, co może nastąpić tylko przez włączenie się w nurt własnych chlubnych dziejów katolickich. To właśnie miał na myśli Pius XII wspomniawszy w swym orędziu na uroczystość Stulecia odnowienia hierarchii brytyjskiej w specjalny sposób Walię i jej bohaterskie dzieje katolickie, gdy wiara krwawą przemocą została wydarta temu narodowi, na podobieństwo gwałtu nad Unitami „nawróconymi" już dwa razy przemocą na prawosławie. Jest to więc sprawa przyszłości Kościoła w tym kraju, co nas jako katolików bardzo obchodzi, tym więcej, że Polaków mieszka w Walii sporo; w takiej n.p. diecezji Menevia dzięki Polakom ilość wiernych podwoiła się.

Co dopiero wspomniałem o porywie metodystów i ich roli w religijnym i kulturalnym odrodzeniu kraju. Czasy to od połowy XVIII do połowy XIX wieku. Ale to już przeszłość; chciało by się napisać, choć to o sektę chodzi: — *niestety* przeszłość. Dziś już mało kto pamięta religijną wiosnę, z jej żarliwą, serdeczną a prostoty pełną gorliwością uniesień nad Krzyżem i Męką Pana, z uczuciami pokuty i surowości życia. Napisał współczesny wielki bard Walii, poeta, dramatopisarz, uczony i patriota Saunders Lewis, że ten poryw religijny jeszcze bardziej oddzielił chłopską ludność kraju od warstw bogatych. Właściciele ziemscy stali się Anglikami i pozostali anglikanami. W stosunku do chłopów byli obcy i wrodzy. „Wieś walijska zorganizowała się w społeczność, w jednostkę społecznie świadomą, w naród na czysto religijnej podstawie. Non-konformizm stał się narodowością Walii. Był to nowy naród, uformowany zjednoczony dzięki swemu religijnemu nawróceniu (...) Religia zajmowała trzy czwarte życia, zatriumfowała w ubóstwie i nad ubóstwem i uszlachetniła gorycz nędznie wynagrodzonego mozołu na roli, w kamieniołomach, w kopalni".[1]

Wcześniej już podniesiono, że to odrodzenie, skierowane przeciwko statycznej koncepcji angielskiego chrześcijaństwa państwowego, „było powrotem do starego rytmu życia religijnego". Było w nim wiele siły i tych uczuć, które dobrze rozumieją katolicy. Serdeczne zawołania jeszcze z czasów starej Wiary, jak „Jezus, Syn Marii!", żarliwe hymny religijne Anny Griffiths i Williama Pantycelyn'a, cały ten duch pobożności w połączeniu z temperamentem walijskim mają w sobie wiele naturalnej katolickości. Toteż powiedziano, że w Walii metodyzm szedł koleinami katolickiej przeszłości. A i dziś jeszcze, mimo ponownego zobojętnienia i sekciarskiego rozbicia, niejeden katolik może doznać zażenowania w zetknięciu z wiarą prostego walijskiego innowiercy. Pozostało bowiem w religijności tego kraju niesłychanie żywe odczucie realnej działalności i obecności wśród ludzi Trzeciej Osoby, Ducha Św. Ale sam prąd dawno już wyczerpał swą siłę. To są tylko najdalej wysunięte smugi fali, której główny nurt już wysechł z braku dogmatycznej głębi i z braku tak pojęcia jak i rzeczywistości Kościoła.

Jednakowoż jest coś w samej atmosferze kraju, w przyrodzie jego ludzi (jeśli tak można powiedzieć), w ich prostocie, nieśmiałej serdeczności, w życzliwej uprzejmości, tak różnej od uprzejmości angielskiej, w ich rozśpiewaniu — Walia to naród z natury artystyczny —: jest coś, co nie ma nic wspólnego z narzuconą temu narodowi protestancką powłoką, a jest wciąż żyjącą przeszłością, której, dziwnym zrządzeniem Opatrzności, pozwolił wydobyć się na powierzchnię — metodyzm. Nic też dziwnego, że najwięksi dzisiejsi katoliccy patrioci Walii, i to za zgodą i aprobatą kościelną, jak np. zasłużony konwertyta, syn również konwertytki walijskiej i pisarki p. Robert Wynne, biorąc udział w pracach walijskich zespołów artystycznych, śpiewają stare hymny metodystów pisane po walijsku.

Kiedy już wspominamy Roberta Wynne, wypada parę słów poświęcić tej znamienitej rodzinie, której dzieje zrastają się nierozdzielnie z historią kraju. Samo nazwisko „Wynne" nie jest dawne i datuje się od połowy XVI wieku, w Walii bowiem dopiero wtedy, podobnie jak w Polsce, zaczęto używać stałych nazwisk. Mimo swego „niedawnego" nazwiska, jest to rodzina, która ostatnią powieść Evelyna Waugh o św. Helenie może uważać za książkę jakby o własnych, familijnych sprawach. Wynne'owie bowiem wywodzą się w prostej linii od wodza z 9 wieku, prowadzącego siły zbrojne Gwyneddu — Marchud-d'a ap Cynan. A odwieczna tradycja rodzinna utrzymuje, że był on dwunastym potomkiem „króla Koela Kodeboga", którego córka Helena, poślubiwszy senatora rzymskiego Konstancjusza, została matką Konstantyna Wielkiego.

Rodzina Wynne'ów wraz ze swym słynnym dworem w Garthewin, walijskim narodowym teatrem, kaplicą N. Serca Jezusowego i wielostronną działalnością stoi od lat w samym ośrodku nie tylko walijskiego odrodzenia kulturalnego ale i katolickiego. Na pewno niejeden z Polaków zetknął się z tą czy inną książką matki właściciela Garthewinu Mrs. Frances Wynne, jak „Eastward of All" albo „The True Level". (Pierwsza to wrażenia *in via* do katolicyzmu, druga to dzieje w „starym Domu", w Kościele; Mrs. F. Wynne została przyjęta do Kościoła w 1931 roku, a więc równo 20 lat temu). Jej syn Robert wśród swych rozlicznych działalności znajduje również czas na prace publicystyczne i literackie. Poświęcił się szczególnie przekładom z keltyckiego na angielski poematów, sztuk i rozpraw Saundersa Lewisa, wielkiej postaci walijskiego odrodzenia.

Saunders Lewis, polityk i bard Walii, jest jedną z czołowych postaci ruchu (przepowiadanego przez Chestertona), który ogarnął zarówno Walijczyków mówiących po angielsku, jak używających starego języka keltyckiego; a pod pewnym względem Lewis jest tego ruchu chorążym i sztandarem równocześnie. I oto ten człowiek, wielkiego talentu artysta, zdając sobie w pełni sprawę z następstw swego kroku, przeszedł na katolicyzm! Przywódca polityczny protestantów w kraju protestanckim! — rzecz chybą bez precedensu w historii. Z jednej strony jest w tym wyraz dramatu tego ludu, który przemocą został odcięty od swej historii i od swej wiary. A z drugiej strony — jest to też pytanie o przyszłość swego kraju, a zarazem sugestia odpowiedzi.

Przed działaczami ruchu i kierownikami odrodzenia stoi wiele zagadek: co zastąpi wygasły ogień religijnego porywu, jaka siła ma wynieść na czyste wody sprawę Walii? Herezja szowinizmu? Radykalizm społeczno-polityczny? Materializm z jakąś spirytualistyczną nadstrukturą?

Niebezpieczeństwa są wielkie. Stąd szukanie i różne odpowiedzi: Saunders Lewis, Robert Wynne i inni dali odpowiedź własną: katolicyzm. Dlaczego?

Oto nauka walijska zogniskowana w College'ach narodowego uniwersytetu w Cardiff, Swansea, Aberyswyth, Bangor; prace Narodowej Biblioteki Walii, Muzeum Walijskie, wszystkie te i inne instytucje inwentaryzując zabytki dawnej przeszłości, wydając drukiem pomniki szczególnie walijskiej literatury, coraz bardziej zmuszone są stawać wobec faktu tysiącletniej katolickości kultury kraju, która te wszystkie zabytki i skarby zrodziła i uformowała. Tę katolicką przeszłość na każdym kroku przypominają nazwy walijskich osad, wsi i miasteczek. W miarę więc jak wygasa ruch metodystów i innych sekt walijskich, a także pewne miejscowe siły socjalne, coraz potężniejszą falą wydobywa się przeszłość i łączy z teraźniejszością ów szeroki duch rozbudzenia narodowego, powstaje własna świadomość walijska, a ten duch, ta świadomość, tysiącem i tysiącem korzeni wyrastą z własnych dziejów religijnych, w znaczeniu czegoś bardzo bliskiego, a odmiennego od dziejów, powiedzmy, angielskich. Tak więc w rosnącym napięciu gorączkowego poszukiwania za czymś esencjonalnym, w obliczu rozproszkowania moralnego idącego w ślad za industrializmem, zaczyna nagle przemawiać przeszłość, a pomostem ku niej są coraz powstające ośrodki prawdziwie walijskiego katolicyzmu, nieoddzielonego od ludu miejscowego nieznajomością jego języka.

Ale — to już osobna sprawa.

Jan Tokarski

[1] *Saunders Lewis: „A Note on Welsh Education". Blackfriars, March 1949.*

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

APOSTOLSTWO ZINDYWIDUALIZOWANE W U. S. A.

W ŻYCIU nr. 2(186) w artykule p. t. „U.S.A. — Krajem Katolickim" podaliśmy przykłady i omówienie metod apostolstwa zbiorowego jak i zbiorowego przygotowywania konwertytów do wejścia do Kościoła, metod tak charakterystycznych dla umysłowości amerykańskiej. Jednakowoż, jak pisaliśmy, zwłaszcza zbiorowe nauczanie konwertytów nie jest wynalazkiem specyficznie amerykańskim. Jest to po prostu sięgnięcie do starochrześcijańskiej zasady zbiorowego katechumenatu. A jak troskliwie i starannie katechumeni byli przez Kościół prowadzeni i przygotowywani, świadczy fakt, że wśród nauczycieli katechumenów w Afryce z początkiem III wieku spotykamy takie nazwisko, jak Tertulian.

Oczywiście, obok metod konwersyj zbiorowych istnieje w USA również apostolstwo zindywidualizowane, dyskretne, zwrócone do jednej osoby. Oto X. Lester J. Fallon z z St. Louis zorganizował apostolat korespondencyjny, nauczania wiary przez pocztę dla osób, które nie chcą lub z różnych względów nie mogą uczęszczać nawet na naukę indywidualną. I tu można by zauważyć, że i ta, tak nowoczesna metoda nauczania za pomocą listów sięga czasów apostolskich... Ponieważ Amerykanie wszystko radzi ujmują w konkretne cyfry, obliczyli i tutaj, że w czasie ostatniej wojny około 32.000 osób przeszło kurs katolicyzmu drogą korespondencyjną. Byli to nie tylko konwertyci z protestantyzmu; nie brakowało również świeżo nawróconych, którzy listownie pragnęli pogłębić swą znajomość zagadnień katolickich. Biskup wojskowy amerykański X. J. F. O'Hara napisał do X. J. Fallon: „Tylko Bóg wie, ile dobrego dokonało się przez te korespondencyjne kursa religii".

Jest jeszcze jedno zagadnienie:

Mianowicie — zagadnienie nawracających się pastorów. Często się zdarza, że duchowny protestancki posiada tylko to, co ma od swej gminy, z tytułu wypełniania swej funkcji. Nawracając się, skazywałby się na nędzę, co zwłaszcza w wypadku posiadania rodziny, byłoby heroizmem. Wielu też nawraca się z nadzieją, że będą mogli zostać katolickimi kapłanami i po studiach, otrzymają wreszcie prawdziwe święcenia. — Losem konwertujących duchownych protestanckich, zarówno posiadających rodziny, jak i chcących i — jako nieżonaci — mogących studiować teologię, zajmują się pauliści, jedyne jak dotąd zgromadzenie amerykańskie, którego współzałożycielem jest były pastor metodystów świątobliwy O. Hecker.

Analogiczne dzieło opieki materialnej i duchowej nad nawracającymi się żonatymi clergymanami brytyjskimi istnieje również w Anglii. Niedawno czytaliśmy w prasie angielskiej, że Ojciec św., który fundacji tej udzielił apostolskiego błogosławieństwa, nie tylko wykazał jej aktualność i potrzebę, ale podniósł jej znaczenie jako jednego z najważniejszych dzieł apostolstwa i miłości.

LOS MISJONARZY W KOREI.

Rada Misyjna Kościoła Metodystów podała do wiadomości, że od chwili wybuchu wojny w Korei zginęło 439 misjonarzy, w czym 32 pochodziło zza granicy.

Największe straty ponieśli prezbyterianie (247 pastorów), potem katolicy (80 kapłanów i sióstr), metodyści (55 pastorów), Holiness Church (6), anglikanie (6), Armia Zbawienia (4), YMCA (8), YWCA (1).

Jest niewielka nadzieja, że kilkoro z zaginionych pozostało jeszcze przy życiu.

RELIGIA W USA. Narodowa Rada Kościołów ogłosiła interesujące cyfry, dotyczące rozwoju różnych Kościołów w USA. Oto parę danych:

Stan 54 najliczniejszych społeczności religijnych (t. zn. liczących ponad 50 tys. członków) wzrósł od 1926 r. o 51,6%, podczas gdy stan ludności w tym samym okresie wzrósł o 30%.

Liczbowo najbardziej powiększyła się ilość katolików (prawie do 28 mil.). Drugie miejsce zajmują metodyści (blisko 9 mil.), żydzi (5 mil.) itd. Procentowo (w stosunku do roku 1926) pod względem przyrostu katolicy zajmują dopiero 9 miejsce (wzrost o 48%), po „Kościele Boga w Chrystusie" (1025%), „Assemblies of God" (474%), adwentystach Siódmego Dnia (107%), południ. baptystach (92%), mormonach (81%), unitarianach, ewangelikach i presbyterianach.

Z WATYKANU

WIELKA PIELGRZYMKA PROFESORÓW i NAUCZYCIELI FRANCUSKICH W RZYMIE. W czasie Świąt Wielkanocnych bazylika św. Piotra była widownią wielkiej pielgrzymki organizacji, która się nazywa „l'Union Catholique de l'Enseignement Public", a która jednoczy profesorów i nauczycieli francuskich szkół państwowych począwszy od uniwersytetów a skończywszy na szkołach ludowych. Pielgrzymka, która liczyła około 2.700 uczestników, miała w pewnej mierze znaczenie historyczne: stanowi ona jak gdyby zamknięcie epoki wojującego laicyzmu i rozdziału Kościoła od państwa we Francji — epoki, która na przełomie XX wieku tak smutnie zaznaczyła się w dziejach stosunków między Stolicą Apostolską a Republiką francuską, doprowadzając nawet do zerwania dyplomatycznego. Wśród obecnych profesorów uniwersytetów państwowych znaleźliśmy szereg nazwisk najbardziej znanych nam z uniwersytetów paryskiego, strassburskiego, lyońskiego itd. Punktem szczytowym pielgrzymki była audiencja, której Ojciec św. udzielił pielgrzymce w drugi dzień Wielkiejnocy. W wypowiedzianej przy tej sposobności mowie, Pius XII stwierdził, że ten, kto by u schyłku XIX wieku przewidywał za 50 lat pielgrzymkę, przedstawiającą zespół nauczania państwowego Francji, zgromadzoną wokoło Papieża, potraktowany by był z pogardliwym sceptycyzmem. Ojciec św. podniósł dalej, że nawet ci uczeni, którzy stoją dziś jeszcze na uboczu od ruchu katolickiego we Francji, nie śmią już przeciwstawiać nauki religii, a ci, co to jeszcze czynią, uważani są za spóźnionych w rozwoju. Zrozumienie, tolerancja, szacunek wobec religii cechuje już dziś życie duchowe Francji. Ojciec św. podniósł następnie znaczenie apostolstwa, któremu służy organizacja, i zachęcił obecnych do wytrwania na tej drodze przypominając im słowa z listu św. Pawła do Rzymian: „Nieuchwytna oczyma doskonałość Boga i Jego wieczna potęga i Boskość są od początku świata dostępne dla oczu i dla poznania poprzez Jego dzieła".

Błogosławieństwo Papieskie zakończyło tę pamiętną dla Francuzów audiencję, w której wziął udział także Ambasador francuski przy Stolicy Apostolskiej, Włodzimierz d'Ormesson.

ZMIANY W DYPLOMACJI PAPIESKIEJ I KORPUSIE DYPLOMATYCZNYM PRZY WATYKANIE. Dotychczasowy Regent Nuncjatury Apostolskiej w Niemczech, arcybiskup Muench, został mianowany Nuncjuszem Apostolskim w Niemczech. W ten sposób z chwilą gdy Niemcom Zachodnim przyznane zostało prawo prowadzenia własnej polityki zagranicznej, Watykan zaznacza, że rząd Niemiec Zachodnich przedstawia dla niego całość Niemiec.

Arcybp. Muench jest Amerykaninem, ordynariuszem diecezji Fargo w St. Zjednoczonych; działa w Niemczech już od 2 lat. Siedziba Nuncjatury znajduje się w Kronberg in Taunus, pod Frankfurtem n/M. Wobec nominacji Nuncjusza rząd Adenauera zamianuje zapewne w najbliższym czasie nowego ambasadora niemieckiego przy Stolicy Apostolskiej.

Po śmierci posła angielskiego przy Watykanie, Sir Victora Perowne, poselstwo to obejmuje w najbliższych czasach Sir Walter Roberts, dotychczasowy poseł W. Brytanii w Bukareszcie. Nowomianowany poseł służył w r. 1923 w Warszawie; większość II wojny światowej spędził w centrali w Londynie.

Ciągle niewyjaśniona natomiast jest sprawa utworzenia normalnego przedstawicielstwa dyplomatycznego St. Zjednoczonych przy Watykanie, chociaż ciągle powtarzają się zapowiedzi, że ma to niebawem nastąpić. Wobec ogromnego rozwoju Kościoła katolickiego w St. Zjednoczonych i zwiększającego się z dnia na dzień znaczenia katolicyzmu tamże, sprawa ta ma dużą wagę dla rządu St. Zjedn., większą nawet niż dla Watykanu, który od lat reprezentowany jest w Waszyngtonie przez Delegata Apostolskiego. Jest nim obecnie Monsignor Amleto Cicognani, dobrze zasłużony także około spraw polskich.

KRÓLEWNA ELŻBIETA Z KSIĘCIEM FILIPEM U OJCA ŚW. Mimo tradycyjnego oporu prezbiterianów szkockich w dniu 13 kwietnia przy zachowaniu ceremoniału królewna Elżbieta wraz z małżonkiem złożyła wizytę Piusowi XII. Jest to szósta wizyta członka angielskiej rodziny panującej u Głowy Kościoła od czasu zerwania Anglii z Rzymem, dokonanego przez Henryka VIII. Przed Elżbietą byli w Watykanie Edward VII, Jerzy V z królową Marią (która tak dokładnie poznała pinahotekę watykańską, że dziś jeszcze potrafi powiedzieć, w którym miejscu tej czy innej sali wisi to czy inne arcydzieło), ówczesny książę Walii późniejszy Edward VIII i księżniczka Małgorzata. Papież przyjął gości bardzo serdecznie, ujął w obie ręce dłoń królewny i powitał ją słowami: „We are very delighted, my dear", a księcia Filipa: „You are very welcome". Rozmowa toczyła się m. in. o dzieciach królewny, o Jerzym VI i Królowej Elżbiecie, którym Ojciec Św. jak i narodom Wspólnoty przekazał najlepsze życzenia.

TEATR

DRUGA SZTUKA CZYTANA Z. M. JABŁOŃSKIEGO

PRĘDZEJ niż można się było spodziewać nadeszła pożądana sposobność do zapoznania się z nową sztuką M. Z. Jabłońskiego pt. „Geometria Lagerfuehrera Fritscha"*) Jest to bodaj czwarty utwór sceniczny tego młodego autora dramatycznego, którego talent i umiejętności coraz wyraźniej się zarysowują. I za tym drugim razem mogliśmy się zapoznać z jego sztuką nie poprzez rampę sceniczną, na zwykłym przedstawieniu, ale jako ze sztuką czytaną, w warunkach raczej kameralnych i poniekąd eksperymentalnych. Trzeba od razu przyznać, że i ten pokaz wypadł bardzo dobrze i to zarówno pod względem możliwości oceny warsztatu pisarskiego autora, jak i sposobu podania go przez zespół aktorski, który podjął się zapoznania słuchaczy z utworem.

„Geometrię..." odczytano niewątpliwie przed zbyt szczupłym gronem zebranych osób, na niedzielnej herbatce literackiej w Domu Harcerza (Gloucester Rd. 45, SW 7), urządzonej 18 marca br. Pomimo raczej skromnych warunków całość wypadła w sposób wzorowy. Za stołem zasiadło 5 aktorów i autor. Podzielili się oni rolami w sposób następujący: Wstęp i organizację tego pokazowego odczytania, będącego czymś więcej od zwykłego wielogłosu recytacyjnego, wzięła na siebie p. Jadwiga Domańska. Odczytała ona wszystkie uwagi inscenizacyjne autora, zawarte w tekście sztuki, tzw. egzemplarzu. Postać księdza-zakonnika odtwarzał p. Fersztyński, postacie więźniów oświęcimskich Osiny — p. Bzowski, a Sztachety — p. Szpiganowicz. Kapo Koplem był p. Beiski, a komendantem Fritschem — autor, p. Jabłoński.

Bez żadnych innych akcesoriów, jedynie z egzemplarzem w rękach, zespół nie tylko odczytał, ale i odtworzył, choć bez sytuacji i gestów, ale często nie bez mimiki, głównie głosem i jego modulacją cały tekst sztuki w sposób nie tylko bardzo sprawny, przekonywający, ale i plastyczny i sugestywny.

Biorąc pod uwagę znikome przygotowanie się do tego występu, sprowadzone bodaj do jednorazowego zebrania się zespołu dla zapoznania się z utworem, osiągnięto niezwykły poziom sprawności artystycznej, dając minimalnymi środkami maksimum efektu teatralnego. Zasługę dzielą po równi autor, dzięki któremu utwór jest dobrze zbudowany i napisany językiem na prawdę scenicznym jak i wykonawcy, artyści dramatyczni, w lot chwytający sytuację i nastrój i znajdujący dla nich właściwy środek wyrazu.

Sztuka jest — powiedzmy od razu — okolicznościowa, osnuta na tle wydarzeń odgrywających się w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu i związana jest z istniejącą na prawdę osobą franciszkanina O. Kolbe, założyciela Niepokalanowa. Akcja zaczyna się od nadawania przez mikrofon radiostacji amerykańskiej ogłoszenia na mydło Andante. Streszcza ona w ostrym skrócie to, co stanowić ma istotę obecnej cywilizacji: Dbałość o stronę materialną, zewnętrzną życia, przepojonego bezwzględnością i sobkostwem. Z tym zestawione zostaje życie i wydarzenie, które miało mieć miejsce w hitlerowskim obozie koncentracyjnym. Fabuła sztuki obraca się dookoła zuchwałej ucieczki jednego z więźniów — Sztachety — przebranego w mundur komendanta obozu, i represji komendanta, który dla zemsty i odstraszenia każe stracić 10 więźniów przez siebie wybranych.

Nie warto zatrzymywać się nad szczegółami dobrej, bo krótkiej, ekspozycji, w której dowiadujemy się o planie ucieczki i mamy zarysowane główne postacie dramatu. Nie będziemy też badać pobudek uciekiniera, typu bezdusznego, łaknącego jak największego wyżycia się, czy też jego wspólników i przeciwników, zarysowanych plastycznie, choć na ogół nie odbiegających od przeciętnej konwencji w tym zakresie. Nie będziemy też rozwodzić się nad pomysłowością efektów scenicznych, wywołujących napięcie grozy i wtłaczających w pudło sceny bogaty tok życia całego obozu.

W poszukiwaniu istotnej treści sztuki, jej założenia ideowego i zawiązku dramatycznego zatrzymać się wypada raczej na dwóch postaciach głównych: księdza-zakonnika i komendanta Fritscha. Zacznijmy od drugiego. Komendant jest niewyżytym artystą - muzykiem. Przed swym zausznikiem Kapo Koplem afiszuje się on swą „geometrią estetyczną". Polega ona na tym, aby zamknąć w kręgu powstałym między twórcą, wykonawcą i odbiorcą tysiące. Jeśli się nie da tego uczynić w muzyce, to trzeba to osiągnąć tutaj, w tym życiu koncentracyjnym, którego komendant jest również jednym z więźniów, i w którym może uderzać nie tyle tonem w wyobraźnię słuchaczy, co wprost bykowcem w więzionych przez siebie nieszczęśników.

Odsubiimowanemu artyście przeprzeciwstawia się postać świętego, ofiarnego zakonnika. Jak dowiadujemy się z trochę jednak banalnego w tych okolicznościach kazania księdza, on to medalikami, niby kulami, raził niewiernych i zdobywał ich dusze dla wiary w Boga i Niepokalanie Poczętą. Dziś oderwany zupełnie od spraw ziemskich, tłumacząc się wiekiem, korzysta z pierwszej sposobności, aby zaofiarować się na stracenie, zamiast jednego z dziesięciu skazanych zakładników.

Związku dramatycznego nie sposób się dopatrzeć jednak, ani w spontanicznej ofiarze świętego, ani w zaledwie lojalnym wykonaniu przyjętego targu przez komendanta i straceniu jednego ze skazańców za drugiego. W tym nie wyjściu poza okręg własnego poglądu na świat dwóch głównych bohaterów sztuki dopatrzeć by się można pewnego braku z punktu widzenia klasycznych wymagań dramaturgii. Nie dochodzi bowiem właściwie do tego, co jest podstawą dramatu, do rzeczywistego kontaktu między głównymi postaciami i do jego rozwiązania przez autora.

Ale w tym niedoprowadzeniu do końca kontaktu można dopatrzeć się myśli głębszej, wręcz tragizmu postulowanego i pokazanego w tej sztuce przez autora, choć nie zawartego w samym splocie akcji dramatycznej widowiska. Tragizm polega bowiem na tym, że są to właściwie dwa światy tak od siebie odrębne, pomimo czy też przy pewnych „karykaturalnych" równoległościach, że do starcia między nimi dojść nie może. Jeden z tych światów będzie trwał w nieprawości i przy pozorach wyższych pobudek działania, a drugi w swej szlachetności będzie dążył do samozagłady, lub najwyżej do przeradzania się w następnych współwyznawcach, ale bez doczesnego zwycięstwa. Na tym świecie pozostawiono miejsce tylko cynicznym realistom w rodzaju uciekiniera Sztachety, który głosi, że każdy powinien myśleć jedynie o sobie. W przebraniu komendanta więc bezkarnie ucieka w świat poza drutami, który żyje handlem według zasad reklamy mydła Andante.

Pomimo więc, że jeden z bohaterów sztuki ucieka na wolność, a drugi ratuje się kosztem życia bliźniego, „Geometria..." Jabłońskiego należy do gatunku, który Francuzi, bodaj za Anouilhem, nazywają „pièces noires" (czarnymi sztukami); są to bardziej tragedie niż dramaty. Są zatem wyrazem postawy pewnego pesymizmu moralnego. U wierzących katolików — w imię ostatecznego celu wiecznej szczęśliwości, u niewierzących — na marginesie przekonań o możliwości okresowego i nawrotnego postępu.

Nie zamierzamy bynajmniej tymi wywodami utożsamiać idei sztuki, tak jak ją rozumieliśmy i jak pozwala ona się rozumieć, z osobistymi poglądami autora, których istotnych założeń nie znamy. Z samej swej budowy wydaje się ona sztuką z tezą. Jakkolwiek mogłaby ona być wyrazem przejściowym jego poglądów, poza tezą musi ona posiadać w sercu autora swoje drugie dno, dużo głębsze. Bo nie ma życia z tezą i nie ma sztuki bez niej. Sztuka bywa tylko obok lub pomimo tezy.

Dlatego sztukę tę witaliśmy jako nowy etap w twórczości dramatycznej nowego, wciąż młodego jeszcze autora, doskonalącego swój warsztat pisarski i dramaturgiczny. Posłuży mu ona niewątpliwie z czasem do pełnej wypowiedzi, czysto artystycznej, mniej okolicznościowej, a prawdziwie poetyckiej.

J. O. N.

*) Pierwsza omówiona została w nrze 10 (194) „Życia" z 11.3.1951 r. w art. J.O.N. pt. „Debiut M. Z. Jabłońskiego Wieczory teatralne", Str 6 — 7. — przyp. Red.

PRZESUNIĘCIE TERMINU KATOLICKICH NAGRÓD LITERACKICH

W roku bieżącym zmienione zostały bardzo znacznie warunki przyznania Katolickich Nagród Literackich. Na zmiany wpłynęła sprawa celu nagród literackich na emigracji.

W roku ubiegłym warunki nagród ułożone zostały według klasycznego wzoru dla tego typu przedsięwzięć: nagradzać utwory wydane lub w każdym razie gotowe i przygotowane do druku. W konfrontacji z rzeczywistością emigracyjną okazało się wszakże, iż bardziej dojmującym problemem wolnej literatury polskiej, od samego jej klasyfikowania i wyróżniania, jest pomoc w wydawaniu książek i dostarczanie bodźca i zachęty pisarzowi, który, zniechęcony perspektywą pozostania jego dzieła w manuskrypcie, nie kończy go lub rozkłada pracę na zbyt długie okresy czasu.

Stąd przy układaniu warunków tegorocznych Katolickich Nagród Literackich położono akcent na pomoc i zachętę dla pisarzy, którzy posiadają prace rozpoczęte lub gotowe, ale mają trudności w znalezieniu wydawcy. Ta skromna suma, na którą potrafiliśmy się zdobyć i którą składają nasi Czytelnicy — ma choć w pewnej części pomóc pisarzowi polskiemu na emigracji.

Fakt zmiany warunków w taki sposób przesunął oczywiście uwagę z dzieł wydrukowanych na dzieła rozpoczęte lub nawet dopiero planowane części dzieł, czego wymagają warunki konkursu.

Powstał również drugi motyw przesunięcia czasu przyznania nagród. Tak się złożyło w tym roku, że parę osób spośród tych, do których zwróciliśmy się, aby zasiedli w Jury Katolickich Nagród Literackich, albo znalazło się poza Londynem, albo z innych przyczyn nie mogłoby wziąć udziału w posiedzeniach.

Wobec takiego stanu rzeczy organizatorzy Katolickich Nagród Literackich zdecydowali się przesunąć czas przyznania nagród o kilka miesięcy.

W najbliższym czasie ogłoszona zostanie dokładna data przyznania nagród, skład Jury oraz czas posiedzeń. W związku zaś z przesunięciem czasu rozdania nagród, przesuwamy termin zgłaszania prac (według warunków ogłoszonych w nr. 52/53 ŻYCIA) do dnia 1 lipca 1951 r.

* * *

Przy tej okazji pragniemy zwrócić się ponownie do Czytelników z prośbą o dalsze wpłaty na Katolickie Nagrody Literackie. Żywa reakcja polskiego świata pisarskiego na ponowne ogłoszenie przez katolików nagród literackich, zwłaszcza w tej nowej formie, świadczy o potrzebie coraz większej troski społeczeństwa wobec pisarza. Choćby w minimalnej mierze musi on mieć możliwość pisania a następnie wydawania książek. A tak się warunki układają, że sprawa ta może być przeprowadzona jedynie przez społeczną pomoc Czytelników.

KATOLICKI
OŚRODEK WYDAWNICZY
VERITAS

ZAPISKI LONDYŃSKIE

HENRY LUCE INSTALUJE SIĘ W LONDYNIE

Znany amerykański potentat prasowy (a raczej „magazynowy") Henry Luce właściciel tygodników „Time", „Life" i „Fortune", posiadających milionowe nakłady, przystąpił do budowy wielkiego gmachu biurowego przy Bond Street w Londynie. Gmach ten mieścić się będzie na rogu Bruton Street, na miejscu domu zniszczonego przez bombę.

Będzie to — jak podkreślają pisma londyńskie — drugi nowy gmach prasowy, wzniesiony w Londynie po wojnie. Pierwszy z nich należy także do Amerykanów; jest to budynek „Associated Press" przy Farringdon Street, koło Fleet Street.

Poza tym jeden z dawniejszych budynków prasowych uległ po wojnie gruntownej przebudowie, a mianowicie budynek komunistycznego „Daily Workera" przy Farringdon Road.

ODNOWIENIE MALOWIDEŁ RUBENSA

W „sali bankietowej" londyńskiego Whitehallu, stanowiącej obecnie część „Royal United Service Institution Museum", znajdowały się od dawna na suficie cenne malowidła, w liczbie dziewięciu, które przypisywano bądź samemu Rubensowi, bądź też jego uczniom. Malowidła te wywieziono i ukryto w r. 1940, by zabezpieczyć je przed bombardowaniem niemieckim. W ukryciu tym znajdowały się przez blisko 11 lat. Obecnie powracają na swe miejsce po gruntownym oczyszczeniu i restauracji.

Przy tej sposobności — jak stwierdził Sir Gerald Kelly w liście do „Daily Telegraph" — ustalono ponad wszelką wątpliwość, że malowidła te wyszły spod pędzla samego Rubensa, a nie jego uczniów; należą one do najwyższej klasy twórczości Rubensa.

„Sala bankietowa", w której się znajdują, otwarta będzie dla publiczności od 1 maja rb.

SPADEK PO NIŻYŃSKIM

W tych dniach ogłoszono treść testamentu słynnego tancerza Wacława Niżyńskiego, który zmarł rok temu w jednym ze szpitali londyńskich, przeżywszy lat 60. Niżyński, rodem Polak, był w okresie 1909 - 1919 bożyszczem publiczności Paryża, Londynu, Nowego Jorku i miast rosyjskich; występował także w Warszawie. Kariera jego miała koniec tragiczny: w r. 1919 Niżyński dostał obłędu i od tej pory żył pod opieką żony, w znacznej mierze z dobroczynności publicznej.

Jak przypominają pisma londyńskie, w listopadzie r. 1949 urządzono w Empress Hall trzy przedstawienia baletowe na jego benefis. Urządzeniem ich zajmowała się pani Niżyńska bardzo swemu mężowi oddana, która spodziewała się, że uzyskany stąd dochód pozwoli na zakupienie małego domku dla obojga. Choć jednak każde z tych przedstawień zgromadziło 5 — 6.000 widzów, nadzieje na ich sukces finansowy zawiodły z powodu wielkich kosztów sal, światła, orkiestry itd. Wskutek tego Niżyńskiemu dostało się z tego źródła tylko 135 funtów.

Nic dziw, że oboje klepali dalej biedę i że cały spadek po Niżyńskim wynosi zaledwie 50 funtów.

Pani Niżyńska ostatnio bawiła w Hollywood.

JESZCZE JEDNA POWIEŚĆ ZOFII KOSSAK PO ANGIELSKU

Londyńska firma wydawnicza Wingate ogłasza, że z końcem kwietnia ukaże się w języku angielskim powieść Zofii Kossak „The Covenant". Będzie to powieść o życiu i czynach proroka Abrahama.

Powieść ta pt. „Przymierze" pojawi się także wkrótce w języku polskim nakładem „Veritasu".

LOS SOCJALISTÓW ZA „ŻELAZNĄ KURTYNĄ"

Pt. „The Curtain Falls. The Story of the Socialists in Eastern Europe" (Lincolns-Prager, cena 4 sh. 6d.) wydana została książeczka, przedstawiająca zniszczenie stronnictw socjalistycznych w krajach Europy Środkowo-Wschodniej przez reżymy komunistyczne i prześladowania socjalistów w tych krajach. Ogólną charakterystykę tych faktów daje „sekretarz międzynarodowy" Labour Party, Denis Healey, po czym następują rozdziały, poświęcone poszczególnym krajom; rozdział o Polsce napisał A. Ciołkosz. Przedmowę skreślił Aneurin Bevan.

Recenzent „Observera" Lajos Lederer zauważa, że p. Healey przemilczał całkowicie fakt, iż w okresie 1946 - 1948 Labour Party zachowywała się biernie wobec prześladowań ruchu socjalistycznego w Europie Środkowo-Wschodniej i zalecała socjalistom w tych krajach sojusze z komunistami. Dopiero później polityka londyńskiego „Transport House" uległa zmianie na korzyść.

ALBUM RYSUNKÓW TOPOLSKIEGO

Firma Methuen wydała album, zawierający wybór powojennych rysunków Feliksa Topolskiego, w ogólnej liczbie 88. Cztery spośród tych rysunków reprodukowane są w barwach. Przedmowę napisał Harold Acton. Cena 42 sh.

V A R I A

Ile słów? Na tej zasadzie, że Szekspir używał w swoich utworach 24 tysięcy słów, profesor Abel Lefranc utrzymuje, że sztuki Szekspira pisał lord Derby. Francuski uczony uważa, że arystokrata używa więcej słów, niż aktor. Naturalnie i inne jeszcze argumenty przytacza prof. Lefranc na rzecz swojej tezy. Między innymi, że scena w „Straconych zachodach miłosnych" do złudzenia przypomina dwór w Nerac, a przecież Szekspir nie mógł przebywać na dworze Margerity Valoise! Co innego lord Derby! Na to odpowiedziała pani Longworth-Chambrun: „Dziwny zbieg okoliczności! Ostatnia sztuka Szekspira powstała w r. 1612, a lord Derby żył do r. 1634. Otóż, od śmierci Szekspira lord Derby nie napisał ani jednego wiersza! Jego geniusz zgasł razem z aktorem, którego imienia sobie rzekomo pożyczył!" Osiemdziesięciosiedmioletni prof. Lefranc ma się nad czym zastanowić. Tylko że. . . starość jest uparta.

„*Chato*". Tak brzmi w skróceniu nazwisko arcymilionera z Południowej Ameryki. Całe jego nazwisko wygląda imponująco: Francisco de Assis Chateaubriand Bandeira de Mello. Pan „Chato" posiada 28 dzienników, 6 tygodników, 19 stacji radiowych, agencję prasową i liczne stacje telewizyjne. Sypia p. Chato cztery godziny na dobę, tak jest zapracowany. Nieustannie jest w drodze. Artykuły pisze w samolocie. Włada pięcioma językami. Buduje muzea, funduje domy rozdawnictwa mleka i wspomaga biedaków pieniędzmi. Podobno inni bogaci Brazylijczycy zaczynają go naśladować.

Encyklopedia Diderot'a. Dwieście lat temu ukazał się w Paryżu pierwszy tom „Encyklopedii", która się walnie przyczyniła do rozpowszechnienia idei wolnościowych we Francji. Przedmowę do niej napisał d'Alembert. Ale głównym autorem tego słynnego dzieła był Diderot. Wkrótce poróżnił się z d'Alembertem i jemu to, Diderotowi, zawdzięcza się, że mimo wielu przeszkód, zaczynając od cenzury, „Encyklopedia" wychodziła przez 29 lat i zamknęła się w r. 1780 jako 28 tomowe dzieło. Umiał bowiem „wydzierać" autorom artykuły, przekonywać ministrów o niewinności swego przedsięwzięcia „czysto informacyjnego", więc nie mogącego szkodzić rządowi, pozyskał protekcję inteligentnej i wpływowej margrabiny Pompadour, która w taki sposób pokazała Encyklopedię Ludwikowi XV, że ten aż się zdziwił, że mógł ktoś mieć zastrzeżenia przeciwko jej drukowaniu. Pierwowzorem Encyklopedii Diderota była trzytomowa Encyklopedia angielska Chambers'a.

Nagła noc. W Forbach, (miasto nad Mozelą), kupiec Lennoll, prowadzący samochód, zawołał:

— Dlaczego się zrobiła nagle noc?!

Jadący z nim przyjaciel zdążył pochwycić kierownicę, bo wóz o mało nie wpadł na chodnik.

Okazało się, że p. Lennoll stracił wzrok.

„*Ty i ja.*" Przed kilkoma tygodniami znany tomik poezji pt. „Toi et moi" przekroczył milion sprzedanych egzemplarzy. P. Paul Geraldy mógłby z dumą powiedzieć, że napisał wiersze miłosne tak dochodowe, jak romanse detektywistyczne.

Honorowa satysfakcja! Signor Vanni Teodorani Fabri Serbelloni, małżonek siostrzenicy Mussoliniego, oświadczył w Rzymie, że wyzwał Churchilla na pojedynek. Zrobił to drogą pocztową przy pomocy listu poleconego. A to z powodu zeszłych słów Churchilla o Italii, o której szef brytyjskiej opozycji wyraził się niestosownie w Izbie Gmin. Signor Serbelloni zgodzi się na skrzyżowanie szpad ewentualnie z synem Churchilla, Randolphem, jeżeli Winston Churchill jest za stary. Signor Serbelloni był pilotem i ma 35 lat. Gdyby Churchill nie przyjął wyzwania, Signor Serbelloni wie co ma zrobić: poczeka na podróż Churchilla do Włoch, do tego „kraju, gdzie rycerskość jest tradycyjna!" I tutaj go obrazi! Straszne! Honorowe! Rycerskie!

Donatello. W Siennie odnaleziono wiele nieznanych rysunków Donatella.

P. D. T.

ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NUMER DWUSETNY

OBOK daty bieżącego numeru „Życie" pojawia się jego kolejna liczba porządkowa: numer 200. Było w dawniejszym zwyczaju pisma odznaczać w sposób szczególny od innych bieżących numerów numery „jubileuszowe", setny, stopięćdziesiąty. Wychodziły one w zwiększonej objętości, wypełnione szczegółami starannie dobranym materiałem. Numer dwusetny wychodzi jako numer zwyczajny. „Jubileusz" odkładamy do ćwierci tysiąca numerów. Dzieje się tak nie tylko dlatego, iż numer dwusetny wypadł na okres braku papieru, ale i dlatego, że zastał on nas w okresie gorącej pracy nad reorganizacją pisma, kiedy nie wszystko jeszcze zostało dociągnięte.

Ci, którzy przed pięciu blisko laty zakładali „Życie", mogą z zasłużonym zadowoleniem i radością popatrzeć na ten odległy już okres przygotowań i później pierwszych trudnych miesięcy istnienia pisma. Był to czas wychodzenia jeszcze wielkiej ilości pism polskich w W. Brytanii. Ale wśród tej rozrzutnej ilości nie było — z wyjątkiem „*Wiadomości Polskiej Misji Katolickiej*" — innego pisma katolickiego. W okresie przełomu tak wielkiego jak obecny, w środku wielkiej tragedii politycznej Polski — wychodziło ponad 30 pism polskich w W. Brytanii, ale nie było dostatecznej liczby pism katolickich!

W pierwszych miesiącach nikt prawie na nowy tygodnik nie zwracał uwagi. Wzruszano ramionami: „Nowe pismo? Katolickie!!! Przewróci się po paru tygodniach." Mimo tych przepowiedni, „*Życie*" jeszcze istnieje. Powoli, z trudem żłobiło sobie drogi do Czytelnika. Do rozproszonych po całej wyspie i po różnych krajach polskiego wygnania — katolików świadomych i czynnych. Zaczepiało się zrazu o te osamotnione wysepki świadomości, o tych, którzy już wówczas rozumieli, że z dna nieszczęścia powrót prowadzi jedynie przez ścieżki Pana Boga. Zwolna siatka uczepień pisma gęstniała, przybywało Czytelników, „*Życie*" tężało. Ostateczne ustalenie się pisma w szerszej opinii dokonało się więc niejako z odbicia: falą powrotną od owych szeroko zadzierzgniętych uczepień na prowincji, w innych krajach, w odległych miejscach polskiej tułaczki.

Była, oczywiście, i jest jeszcze sprawa owej opinii o piśmie. Podnosiły się od czasu do czasu krytyki i niezadowolenia. Pretekstem bywały rzeczywiste potknięcia się, czy niezręczności, nieuchronny los każdego wydawnictwa, które nie powtarza jednego z utartych schematów. Ale nie to w głównej mierze stanowiło właściwą przyczynę niechęci. Jak wiadomo nałogi przyzwyczajeń trwają, siłą bezwładu, długo po ustaleniu przyczyn, które je stworzyły. Na wielu rozłogach współczesności poniewierają się dotąd skorupy XIX-to wiecznych przyzwyczajeń. A w owym stuleciu zadekretowano przecież: religia to zabobon, katolicyzm to ciemnota. A katolickie pismo kulturalne — to groteska.

Takie było i, częściowo, jest tło opinii, które o różnych poczynaniach katolickich istnieje do dziś nie tylko, w zajadłym stężeniu, na terenach władzy komunistycznej, ale w rozcieńczeniu również i w wielu społeczeństwach i środowiskach normalnych. Na tym trwającym uparcie tle uwypukliło się również parę nieporozumień odnoszących się do katolickiego pisma dla polskiej inteligencji emigracyjnej. Nie zrozumiano na przykład, iż nowopowstałe pismo nie może powtórzyć żadnego z gotowych schematów prasowych, bowiem straci rację swego istnienia. Nie wszędzie również zrozumiano to, że pismo katolickie jakiegokolwiek poziomu nie może z nikim politycznie się sprzymierzać, ani nikomu czynić usłużnych koncesji. W końcu wystąpiło niezrozumienie największe. Jest rzeczą oczywistą, iż powstawanie nowego pisma jest tylko wówczas uzasadnione, jeśli ludzie tworzący je decydują się na porzucenie starych i zgranych formułek myślowych, a dla odwiecznych i żywych treści idą szukać nowych form. Gdy się zaś tak czyni, jakżeż łatwo nie tylko o potknięcie, ale i wywołanie niezadowolenia dostojnej rutyny.

Wyważaniem takich czy innych spraw wypełnione były cztery lata istnienia „*Życia*". Osadzało się ono organizacyjnie i technicznie, parało się sprawą wyrabiania współpracowników, wykrystalizowało swój typ. Został on ostatecznie ustalony. „*Życie*" jest pismem katolickim dla inteligencji w typie publicystycznym, pismem mającym poruszać wszystkie zagadnienia i problemy żywe dla człowieka współczesnego. „*Życie*" jest pismem polskiej emigracji, w którym to środowisku publicystyka tak wiele ma do zrobienia.

Trud i wysiłki całej współczesnej prasy katolickiej skupiają się na dwóch przede wszystkim zakresach tematów: na tematach teologicznych traktujących o Istocie Stwórcy, Jego Objawieniu, zasadach moralnych opartych na Objawieniu, w końcu wyjaśniających powstanie współczesnej tragedii ludzkiej przez fakt wypowiedzenia posłuszeństwa Bogu; i na drugim zakresie tematów — szukających rozwiązań i zastosowań praktycznych. Pierwszym tematem jest znajomość Prawdy, drugim umiejętność wprowadzenia Jej w życie.

W obydwu zakresach stoi olbrzymia praca do wykonania. Człowiek oddalił się od Boga nie tylko przez zasadnicze wyparcie się Go i nieuznanie, ale w wielu wypadkach wyparcie nastąpiło „tylko" przez niechęć do prawdziwego poznania Stwórcy. Mgliste uczucie religijne istnieje, ale w formie jakichś improwizowanych nastrojów, jakichś „własnych religii", jakichś sentymentalnych przeczuć i odczuć. Tymczasem w pośrodku ludzkiego życia, wpośród wszystkich jego spraw, burz, tragedii i ukojeń stoi wyrazista i przejmująca myślącego człowieka rzeczywistość Boga Jedynego, ku któremu powinny dążyć rozum i wola człowieka, aby Go poznać i ze wszystkich sił umiłować.

Ale, po poznaniu, i znalezienie nowych konkretnych rozwiązań dla życia to sprawa niepospolicie trudna. Zwłaszcza dziś. Wiemy przecież, że świat musi być przerobiony. Formy dotychczasowe muszą być zastąpione nowymi. Na każdej rzeczy musi być odciśnięty nowy kształt. „Instaurare omnia in Christo". Zadanie olbrzymie, praca na pokolenia. Świat bowiem rzeczy jest złożony i wieloraki, opory przeciw zmianom wcale nie ustały, a pośród rodzaju ludzkiego pojawiło się straszliwe zagrożenie, którego naczelnym zadaniem jest szczerbę rozłąki człowieka z Bogiem rozszerzyć — w przepaść.

Takie są zagadnienia, przed którymi stoi prasa katolicka, a więc i „*Życie*".

Józef Kisielewski

PO ŁEPKACH

MEAD I MIÓD

GDYBY nie słownik polsko-angielski, nie uwierzyłbym. Przybiegłem wczoraj do domu bez tchu, prosząc już od progu, by mnie szczypano. Bo wracam z krainy czarów, chociaż jako żywo nie widziałem przedtem, tak jak mała Alicja, żadnego królika. Ale miód widziałem!

Pozwólcie, że opowiem od początku. Jeśli pragniecie odetchnąć powietrzem wielkiego świata, nabrać w płuca balsamu ludzkiego szczęścia i odgiąć kark od maszyn, liczydeł i garnków, przejdźcie się bliźniaczymi ulicami Knightsbridge i Brompton. Tam to w oknach Harrodsa, Harvey Nicholsa i Woollandsa ujrzycie najpiękniejsze na świecie stroje i ubiory, a przed oknami najpiękniejsze kobiety. Jedne są jakby dla drugich stworzone. Dzielą je tylko szyby. Ale przeźroczyste szkło pozwala każdemu człowiekowi na marzenia. To tak, jak we śnie: tylko dotknąć.

Knightsbridge i Brompton są też dziwnym zbiegiem okoliczności najbardziej polskimi ulicami Londynu. Przy nich lub w bezpośrednim pobliżu osiadły główne skupiska polskie: Ognisko Polskie, Klub Białego Orła, Dom Kombatantów, Księgarnia Polska Orbis i kilka sklepów polskich. Polacy londyńscy najchętniej modlą się w Brompton Oratory.

Wraca się zatem spod którejś ze strzech polskich. W uszach dźwięczy „Mazurek, mazurecek". Mija się wystawę z kierpcami w parzenice i z łowickimi pasiakami, aby dalej przez szybę dojrzeć obrazki z kraju lat dziecinnych i pieśni o ziemi naszej w oknie księgarni. I nagle... Głupstwo wiśniówka i wódka wyborowa! Ale „*Cornish Mead*"! Kornwalijski miód! Śliczna, przysadkowata buteleczyna, z lakowaną szyjką i spływającą z niej modrą kokardką w czerwone brzeżki. Zawartość jej nazywa się *mead*. To nic innego, jak staropolski, najprawdziwszy miód.

Ta to butelka z kokardką — nie śmiejcie się! — powiodła mnie w krainę czarów. W świat i czasy, kiedy sycone w Polsce miody wędrowały do piwnic angielskich i jeszcze dalej i głębiej, — w czasy kiedy językom ludzkim blisko było do siebie.

Związki Polski i Anglii były w historii wcale liczne. Ale językom było zawsze do siebie niezmiernie daleko. Tyle tej wspólnoty, ile modrej wstążeczki na szyjce od flaszki miodu. Bodaj tylko ten jeden jedyny polski wyraz wszedł na trwałe do języka angielskiego. Polska dała światu, oprócz Kopernika, Wita Stwosza, Sobieskiego, Chopina i Sienkiewicza, jeszcze tańce, potrawy i napoje. Czym chata bogata... Miód zaś do Anglii przywiozło zapewne któreś z licznych poselstw, a może dwór Klementyny Sobieskiej. *Mead*. Potem jakiś przedsiębiorczy Anglik o krwi celtyckiej począł sycić miody w Kornwalii.

Mamy poza tym wspólnych prapradziadów, przyczem wedle nauki myśmy raczej pozostali u siebie w domu, podczas gdy dzisiejsi Anglicy powędrowali w świat i za morza. Niemiecki filolog August Schleicher dowodził, a współczesna nauka zdaje się przychylać do tej hipotezy, że ojczyzną wszystkich ludów indo-europejskich był obszar historycznej Litwy, dokładniej równina między Wisłą a Dnieprem. Język litewski zachował niezwykle wiernie najstarożytniejsze wyrazy i cechy gramatyczne hipotetycznego języka Ariów i przedziwnie zbieżny jest z najstarszymi ze znanych języków tej rodziny — sanskrytem i greką.

Nauka przypuszcza, iż gdzieś około roku 5.000 przed Chrystusem rodzina praindoeuropejska rozeszła się po świecie. Przez długie wieki ludy te wałęsały się po całej Europie i sporej części Azji. Być może, że spotykały na swych drogach wcześniej osiadłe ludy. Pojęcie własnego terytorium państw i granic w czasach owych nie istniało. Spory za naszych czasów o t.zw. praojczyzny narodów prawdopodobnie nigdy nie doprowadzą do rozwiązania. Ludy pierwotne nie miały stałej ojczyzny i rzadko zajmowały większe terytoria wyłącznie same dla siebie. Ziemia zgodnie z Pismem św. należała do wszystkich ludzi. Jak świadczą wykopaliska prehistoryczne, kultury praludów mieszały się ze sobą. Należy też przypuszczać, że niegdyś Germanowie mogli nie tylko zajmować część tych samych ziem, co Słowianie, ale mogli nawet żyć z nimi w tych samych osadach. Tak n.p. najeźdźcy normandzcy żyli w tych samych wsiach, co Anglowie, Sasi i Dunowie.

Otóż ludy europejskie rozeszły się w świat ze wspólnego domu około roku 5.000. Rozeszły się ich drogi, ich kultury i języki. Pisma wtedy nie znano, szkół i urzędów zapewne nie było. Języki poczęły się gwałtownie między sobą różnić. Na ich zróżnicowanie mogły mieć wpływ rozliczne okoliczności, aż do fizjologicznych. Gdyby seplenione *th* angielskie nie występowało również w sanskrycie i w grece, możnaby twierdzić, że pierwszy ród angielski miał jakąś wadę między językiem a zębami.

Czy zresztą kiedykolwiek istniał wspólny język praindoeuropejski? Nie ma na to żadnych dowodów. Nie wiem, czy ktokolwiek wysunął już podobną tezę, którą niniejszem w „Po łepkach" stawiam: jakieś kataklizmy przyrody zmusiły ludy, które przedtem żyły osobno, do zgromadzenia się na wspólnej, wolnej od kataklizmów przestrzeni. Być może też, że na tę ziemię zwabiły ludy pierwsze zboża. Na tej przestrzeni ludy żyły obok siebie lub ze sobą przez jakiś okres czasu i wówczas dopiero powstała wspólnota t. zw. indoeuropejska. Szereg podstawowych przedmiotów i pojęć określano wtedy wspólnym językiem lub też używano dwu języków: własnego i wspólnego. Ten zaś język „wspólny" mógł być albo językiem ludu najmożniejszego albo gospodarza zamieszkiwanej przestrzeni. Potem, kiedy przyroda stała się łaskawsza, ludy poczęły się rozchodzić.

Jedno jest pewne: języki indoeuropejskie posiadają dziś wspólnych wszystkim cech językowych bardzo niewiele. I tak n. p. wspólnych źródłosłowów angielskich i polskich (nie licząc tysięcy obopólnych historycznych zapożyczeń z łaciny, francuskiego, niemieckiego, greki, języków wschodnich itd.) nie ma zapewne więcej niż palców u rąk i nóg. A więc: matka, brat, siostra, syn, liczby od dwu do ośmiu (po uwzględnieniu odmienności historycznego rozwoju wokalnego), poza tym słońce, noc, woda, śnieg, gęś, świnia (*swine*), mysz, ramię, jarzmo, drzwi, strzecha (*thatch*), stać, leżeć. Jakieś dalekie echa, raczej podobieństwa, wiążą n.p. stóg i *stack*, stajnię i *stable*, *thaw* z tajaniem, *wax* z woskiem, *dream* z drzemaniem. Wszystkie te wyrazy oznaczają przeważnie związki rodzinne, czynności gospodarcze, zwierzęta domowe, części ciała lub zjawiska przyrody. Mogłoby to świadczyć o wspólnocie lub obcowaniu gospodarczym i związkach krwi ludów praindoeuropejskich.

Trudno uwierzyć, aby w stosunkowo niedługim okresie czasu mogło dokonać się takie zróżnicowanie języków pochodzących z jednego pnia.

Nawiasem mówiąc Anglicy jest to stop wielu narodów i wielu kultur. Język angielski jest wynikiem niezwykle bogatego rozwoju i licznych przemian. Ale o tym może innym razem, nie przy miodzie.

Miód bowiem przypomina nam, iż chodzi o polsko-angielskie związki językowe.

Anglia w dziejach Polski była krajem prawie egzotycznym (i wzajemnie: porównaj wypowiedzi o Polsce i Polakach n.p. Szekspira). Wprawdzie Daniel Naborowski w pierwszej połowie XVII stulecia pisał gładką odę „Na oczy królewny angielskiej", ale w drugiej połowie tegoż stulecia Wespazjan Kochowski pisał w wierszu „Do Bacchusa":

Kto też bywał i w Londynie,
Niech powieści sieje;
Ja wiem, gdy przy starym winie,
Co się w Węgrzech dzieje.

A więc Londyn był dla Polaków przedmiotem powieści. Tym też należy tłumaczyć, że co dziwniejsze rzeczy nazywają się w polszczyźnie — angielskimi: angielskie zioła, angielska choroba, a coś pośredniego między kieliszkiem a szklanką zwie się: angielka. Elegant zaś domorosły nosi w Polsce miano: Anglika z Kołomyi. Fircyk ma w polszczyźnie brata w lowelasie. Wyraz ów zawędrował do nas z jakiejś angielskiej powieści.

Skoro już jesteśmy przy rzeczach zabawnych, podejrzewam pokrewieństwo polskiej bajdy chleba z angielskim *pie* i polskiego fajtnięcia z angielskim *faint*, wreszcie brekekeksa z angielskim *brake-cake*. Dziwnie też przypomina język angielski zabawa słowna naszych dzieci: „Ence pence, w której ręce?" Czy to czasem nie poszło od angielskich monet, które jakiś bywalec przywiózł do kraju? Na jednej było napisane „*one*", a na drugiej „*pence*" i czy ktoś przypadkiem nie zabawił się w zgadywanie przy pomocy tych monet: w której ręce „ence", a w której „pence"? Język kocha się w humorze i najtrwalej utrzymują się w nim dowcipne powiedzenia, przysłowia, kalambury, anagramy. Często dłużej niż znaczenie.

Wpływ słownika angielskiego na polski zaczyna się na dobre dopiero w wieku XIX i XX. Wcześniejszych śladów wpływu istnieje bardzo niewiele. Język polski czerpał słownictwo garściami z łaciny, bardziej umiarkowanie z języków francuskiego i włoskiego i raczej oszczędnie z niemczyzny. Polszczyzna miała zawsze zamiłowanie do języków romańskich (nie ukrywajmy, że najbardziej w Anglikach drażni nas ich germańskość). Po niemiecku mówi w Polsce „diabeł na przypiecku". Wyrazy niemieckie ulegały w polskim przyswojeniu cudacznym zmianom, odwrotnie jak starannie kopiowana łacina i inne wyrazy romańskie.

Przed wiekiem XIX wzięliśmy bezpośrednio od Anglików chyba tylko marynarski ster (*stair*) i zapewne nazwy ryb: karpia (*carp*), flądry (*flounder* — polski odpowiednik płastuga), leszcza (*lesh*), makreli (*mackerel*) i pstrąga (*trout*). Karp ze swym miękkim p, a zwłaszcza pstrąg wydają się być jednak praindoeuropejskie (w łacinie — carpa). Nazwy ryb mogły też być wspólne w basenie bałtycko-fryzyjsko-angielskim. Jeśli kto, to rybacy polscy mieli w dziejach najwięcej styczności z ludami anglo-saksońskimi i normandzkimi.

Nie istnieje słownik polski, podobny do English Oxford Dictionary, w którym by podawano daty, kiedy jakieś słowo użyte zostało po raz pierwszy. Ale jeśli nie przed wiekiem XIX, to w każdym razie na progu tego wieku Polacy przyjęli do swojego języka poprzez język angielski nazwy egzotycznych zwierząt, drzew i roślin takich, jak n.p. lampart, jaguar, żyrafa, szympans, mongrel, kangur, dingo, oraz bambus, mango czy baobab. Z wielkiej rodziny angielskich psów rasowych przyjął się u nas tylko buldog. „Dog", to już najwyraźniej polska przeróbka, podobnie jak „fox".

Numizmatyk mógłby rozstrzygnąć, co było pierwsze: szeląg czy szyling i czy na drodze między nimi nie było pośrednictwa niemieckiego.

Polski ląd, to niewątpliwie germański *land*. Trudno uwierzyć, że Polska i Londyn posiadają wspólną etymologię. Chaucer używa stale zamiast *land* wyrazu *lond*, co oznaczało obszerne pole, szmat ziemi, w odróżnieniu od morza. Otóż Polska, to kraj pól, a Londyn, to miasto pól. Londyn wabił od wieków najeźdźców jako obszar rozległych równin i pól, tuż w pobliżu morza. Polska również stale wabiła najeźdźców.

Wiek XIX jest okresem światowej ekspansji politycznej, technicznej i kulturalnej Anglików. Do języków europejskich, a wśród nich do polszczyzny, zaczynają się wciskać wyrazy angielskie w ślad za tą ekspansją. Najpierw w polityce: mający wiekową tradycję polski sejm przybiera nowocześniejszą nazwę parlamentu. Budżetu pewnie nigdy przed przyjęciem tego wyrazu w Polsce nie układano i to na sesjach. Nie znaliśmy też strajków, sabotaży, lokautów, dumpingu ani standartu życiowego.

Bankowość polska najwyraźniej też się rozwinęła pod wpływem angielskiej. Wprawdzie i wyraz bank i system rachunkowości zaczerpnęliśmy z Włoch, przecież banknot, czek, agent, renta, taksa i rejestr przyszły do nas z Anglii.

Kiedy Wojski rozwijał przy arcyserwisie swoje poglądy polityczne, rzekł: —

W innych krajach, jak słyszę, trzyma urząd drabów,
Policyjantów różnych, żandarmów, konstabów,
Ale jeśli miecz tylko bezpieczeństwa strzeże,
Żeby w tych krajach była wolność — nie uwierzę.

„Konstab", to oczywiście *constable* — „*bobby*" lub „*copper*", jak kto woli. A drab? To też wyraz angielski, tylko że nie oznaczał nigdy osoby urzędowej. Przeciwnie — dziewczynę lekkich obyczajów.

Anglia wpisała nam jeszcze w wieku XIX do słownika doki, baraki, kocze (*coach*), dreny (*drain*), pistolet, rewolwer i browning, bar, klub i raut (pierwotne znaczenie zbiegowisko, w polszczyźnie tylko bardzo dostojne zbiegowisko), rum i grog (licha zapłata za miód i wódkę) zupełnie pomieszane w polszczyźnie stroje: żakiet, frak i tajemniczy smoking (który nigdy w Anglii tak się nie nazywał — czy to aby nie nazwisko jakiegoś sławnego krawca?) oraz równie tajemniczy spleen, który to wyraz w angielskim oznacza wyłącznie śledzionę.

Większość rzeczy subtelnych i delikatnych wzięliśmy z Włoch i Francji. Z Anglii oprócz W.C. (klozet, w Małopolsce używano też wyrazu „prewet", zapewne z angielskiego *private*) z dziedziny higieny — w dziale urbanistyczno-ogrodniczym przyjęliśmy skwer i aleję, nazwy typowo angielskich kwiatów: tulipana, krokusa i jaśminu i bardzo nieliczne nazwy potraw: pudding (spolszczony budyń), befsztyk (*beef steak*), rosbif (*roast beef*), keks, bekon i dżem (jest to angielski neologizm).

Dziedzictwem wieku XX są terminy sportowe: sam sport, dalej football, baseball, krykiet, golf, boks, rugby, hockey, jacht, tennis, set, giem, mecz, start, finisz, i nawet i miara jardowa. Dżokej przychodzi już w „Panu Tadeuszu". Skaut i skauting miały żywot raczej krótki. Takie wyrazy, jak: ping-pong, bicykl, tricykl, aeroplan, balon, taksówka, lora, asfalt, benzyna, parafina, film i klown cyrkowy są nowotworami angielskimi XIX/XX wieku, które też przyjął język polski.

Idą w karczmę, Gerwazy wspomniał dawne czasy,
Kazał sobie trzy podać od kontuszów pasy,
Na nich ze sklepu karczmy beczki wydobywa
Trzy: jedną miodu, drugą wódki, trzecią piwa.
Wyjął goździe, wnet z szumem trysnęły trzy strugi,
Jeden biały jak srebro, krwawnikowy drugi,
Trzeci żółty; troistą grają w górze tęczą,
A spadając w sto kubków, we sto szklanek brzęczą.

Krwawnikowy strumień miodu. Za jego zaś tęczą miodowy, kasztelańskich książęcy i królewski Kraków. Jedyne miasto na świecie, gdzie smakuje miód.

Tu zaś raczej bym radził „strug" żółty.

Jan Bielatowicz

P.s. Przykłady zapożyczeń polszczyzny z języka angielskiego nie są zaczerpnięte z żadnego opracowania ni źródła i mogłyby być z łatwością pomnożone. Poprzez angielski przyjęliśmy też sporo wyrazów pochodzenia łacińskiego i greckiego.

Już po złożeniu artykułu autor przypomniał sobie nie tylko zrazy nelsońskie, ale także maszt i but — oba niewątpliwie angielskie wyrazy.

10-LECIE „MYŚLI POLSKIEJ"

17-go marca odbyła się w Londynie skromna uroczystość w postaci herbatki, na której, na zaproszenie redakcji „Myśli Polskiej", zgromadziło się około 60 osób, które współpracowały w ciągu lat 10 z tym wydawnictwem a przebywają w Londynie. W dniu tym bowiem przypadła dziesiąta rocznica założenia tego pisma.

Przybyłych w krótkich słowach powitał red. Wojciech Wasiutyński, po czym odczytał listy od zaproszonych, którzy przybyć nie mogli: pp. Józefa Kisielewskiego, Zygmunta Nowakowskiego i Wita Tarnawskiego. Z kolei nastąpiło szereg zaimprowizowanych przemówień, nieraz błyskotliwych, gdzie komplementy mieszały się z przycinkami a anegdoty z refleksjami ideowymi. Mówili pp. Folkierski, Rojek, Bielecki, Trościanko, Pietrkiewicz, Pańciewicz, Stroński.

„Myśl Polska" powstała jako dwutygodnik wczesną wiosną 1941 roku. W pierwszych miesiącach istnienia koncentrowała główny wysiłek na propagandę kultury polskiej wśród sojuszników anglosaskich, drukując przekłady z poezji polskiej, publikując Album Rzeczy Polskich, a także tłumaczenia z literatury angielskiej i fragmenty utworów angielskich o Polsce. Wkrótce jednak wybuchła wojna niemiecko-sowiecka i wywołane przez nią możliwości i niebezpieczeństwa zmusiły pismo do przeniesienia całej uwagi na obronę praw polskich w świecie międzynarodowym i walkę z tendencjami kapitulacyjnymi wśród samych Polaków. W tym okresie „Myśl" szeroko wyszła poza ramy Stronnictwa Narodowego, z którym zawsze była związana i na jej łamach pisywali rozmaici publicyści, których łączył bezwzględny opór przeciw temu, co później nastąpiło pod mianem Jałty. Wśród stale pisujących w tym okresie na pierwszym miejscu wymienić należy, obok redaktora M. E. Rojka, pp.: Wł. Folkierskiego, ś.p. J. Rembielińskiego, E. Sojkę, J. Kisielewskiego (Stanisław Kowalski) i płk. A. Kędziora. Bezwzględna obrona interesów polskich w sporze z Sowietami nie szła po myśli ówczesnej polityki brytyjskiej; od końca r. 1943 pismu grożono zamknięciem a wkrótce po konferencji w Jałcie cofnięto mu przydział papieru, co w warunkach wojennych oznaczało konieczność zawieszenia wydawnictwa.

Warto także wspomnieć, że „Myśl Polska" była pierwszym pismem, które ogłosiło w r. 1942 program granicy zachodniej opartej o Odrę i Nysę Łużycką, co było nawet przez rodaków potraktowane z niedowierzaniem a gwałtownie zaatakowane przez prasę niemiecką wydawaną w Polsce.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: **Veritas Foundation Centre.** Adres redakcji i administracji: **Polish Weekly, ŻYCIE, 12, Praed Mews, London W.2.** Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17;** z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh.** Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed" (//), wystawionymi na **Veritas Foundation Publication Centre.** CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1; w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. **Prenumerata zagraniczna:** ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półroczn. 52 pesos. Przedstawicielstwo: „Libreria Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: Zbigniew Wróbel, 43, rue d'Irlande, Bruxelles, St. Gilles — FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs., Przedstawicielstwo „Libella" Librairie, 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV-ème. — NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM., kwartalnie 7.00 DM. Przedstawicielstwo mają: „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Schiphhorst 2. i Księgarnia „Wiedza", Schwandorf/Bayern, Bahnhofstrasse 19. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P. K. S. U. Veritas. Section Suise, Case Postale 19, Fribourg 2. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwart. 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Anggatan 6c, Lund, Sverige, Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol., pocztą lotniczą 5 dol. Przedstawiciel: A. Stojanowski, 22, E. 33rd Street, Bayonne, N.J., USA.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734